Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 33.

dnia 17. Lipca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Pewnego dnia, wszedłszy do redakcji, zastał na swoim sekretarzu dwa listy, na których znajdował się dopisek: „Do rąk własnych“. Rozpieczętował pierwszy.

Pochodził on od rabina Izaaka Beermana, który, jak wiemy, był szwagrem Jakóba Sterna i cały był poświęcony obronie izraelitów.

Piszący, wspomiawszy na wstępie, że *Przyszłość* od początku z wielką czyta uwagą, wynużał dalej żal swój, iż między wspaniałomyślnymi Polakami znalazł się człowiek, który biednych żydów prześladuje, i zakończył zaklęciem, by jako chrześcijanin, który „bliźniego powinien kochać jak siebie samego“, zaprzestał niesprawiedliwych wycieczek przeciw członkom tułaczego narodu, i był odtąd prawdziwym szermierzem polityki polskiej, która wolność, równouprawnienie i tolerancję uważa za główne swoje podwaliny. List był obszerny, patetyczny, i tyle w nim było cytatów ze Starego Testamentu, że czytający gubił się w nich jak w gęstym lesie. Ryszard odłożył go z uśmiechem i wziął drugi, którego adres był skreślony pismem kobiecem. Rozpieczętowawszy czytał:

„Szanowny Panie! Jeźli wspomnienie przelotnej naszej znajomości nie uleciało jeszcze całkiem z Twojej pamięci, w takim razie nie weźmiesz mi Pan za złe, że ośmielam się pisać do Ciebie w sprawie mojego ojca. Wiadomo Panu, że mój Ojciec zamierza ubiegać się z miast o mandat do Rady Państwa. Bynajmniej on też nie wątpi, że będzie wybrany, ale ponieważ radby uniknąć walki, która jego przeciwnikom żadnej korzyści nie przyniesie, a tylko będzie świadczyła o naszem rozdwojeniu, przedto polecił mi, bym Pana, który w kraju jesteś jedynym jego nieprzyjacielem, usilnie prosiła o szlachetne zawieszenie broni... Mam nadzieję, że Polak jak Pan, znany powszechnie z rycerskości i prawości charakteru, nie odmówi mi tej drobnostki, za co też szczerze będę wdzięczną.

Łączę wyrazy wysokiego poważania — Róża Stern“.

Ryszard z ręki list wypuścił i usiadł bezwładnie. Te słowa, acz zimne i ceremonialne, obudziły w nim wspomnienie chwil przyjemnych, które spędził w towarzystwie pięknej dziewicy i tak głąb jego serca poruszyły, że niemało czasu potrzebował, nim zaczął o tem myśleć, czego od niego żądała. Inny chcąc się damie przypodobać, był by może chętnie uczynił zadość jej żądaniu; przeciwnie Ryszard został takim samym, jakim był do tej chwili.

— Ten pan Stern — rzekł sobie w duchu — mimo całej swojej przebiegłości jest bardzo naiwny!... Z jednej strony namówił szwagra, żeby we mnie uderzył bronią najcięższą, bo narodową, z drugiej skłonił córkę do napisania listu, który jest obliczony na moje uczucie... Doprawdy, tylko człowiek naiwny mógł przypuścić, iż to na mnie podziała!... Panu Beermanowi odpowiem obszernie w gazecie, tem chętniej, że już oddawna zamierzam określić jasno stanowisko *Przyszłości* w obec sprawy żydowskiej, a co do panny Róży, tej trzeba odpisać... Ze wszystkiego widać, że usłuchała tylko rozkazu ojca, z każdego wiersza, niemal w każdem słowie, przymus przebija... Snać pan ojciec, dowiedziawszy

się, że mnie zna, postanowił z tego zaraz skorzystać... ale jak boleśnie się zawiedzie!

Wziął ćwiartkę papieru i pisać zaczął:

„Pani! Jakkolwiek list Pani miłą mi był niespodzianką, nie przypuszczałem bowiem, byś chciała przypomnieć sobie człowieka, którego obecność musiała Ci być niegdyś tylko przykrą, i lubo z całego serca radbym pomyślną odpowiedzią sprawić Ci przyjemność, nie mogę niestety tego uczynić, ponieważ dla nikogo na świecie nie wyprę się moich zasad. Mylisz się Pani sądząc, że jestem nieprzyjacielem Twego ojca. Nieprzyjaciółmi mogą być jedynie ludzie, którzy się znają; my zaś prawie całkiem się nie znamy; zresztą nie należę do tych, których serce jest dla nieprzyjaźni przystępne. Między nami, jeźli o czem może być mowa, to chyba o różnicy zasad, i ja się też przyznaję, że Ojca Pani jestem przeciwnikiem zasadniczym. Czy jednak pięknie by było, jeźlibyśmy słuchając grzecznych słówek, wypierali się zasad? Zechciej to Pani sama osądzić... Co do mnie, zdaje mi się, że postępowanie mężczyzny powinno być takie, by świat miał dla niego, jeźli już nie miłość, to przynamniej szacunek. W ten sposób postanowiłem i ja postępować i dla tego raz jeszcze przepraszam Cię Pani, że Jej odmówić muszę, mimo prawdziwej przykrości, jaką mi to sprawia.

Racz przyjąć Pani wyrazy rzetelnego poważania, z którem kreślę się Jej sługą. — Ryszard Gozdawa“.

Ledwie list zapieczętował i na pocztę odesłał, wpadł do redakcji dobry nasz znajomy, starosta Grabowski. Ryszard dawno go nie widział, to też jego widok niezmiernie go ucieszył.

— Jak się masz Zygmusiu! — zawołał na szyję mu się rzucając. — Sto lat cię nie widziałem!

— Jak się masz! Jak się masz!

Starosta był widocznie roztargniony.

— Chwała Bogu, żeś przecie raz do nas przyjechał. Co tam słychać w naszych stronach, co mój ojciec porabia?

— Nie wiem Rysiu, bo ja nie z domu, lecz z Wiednia, a że spieszę się na kolej, bo tam naród na mnie czeka, więc tylko na chwilkę do ciebie wpadłem.

— Piękne historje! Czyż do Wiednia jadąc, nie mogłeś do mnie wstąpić?

— Jak Cię kocham Rysiu, nie mogłem. Interes był tak ważny, że musiałem pędzić dzień i noc, aby się broń Boże nie spóźnić.

— Wolnoż wiedzieć co się tam ciągnęło nad brzegi modrego Dunaju?

— Wyobraź sobie to przez tego gałgana Sterna!

— Przez Sterna? — Ryszard ze zdziwieniem powtórzył.

— Tak jest, przez niego... Dwa miesiące temu, otrzymałem dla niego order z Wiednia. Wprawdzie bardzo mnie to zdziwiło, ale ponieważ za panowania centralistów, różne u nas rzeczy się dzieją, więc wzruszyłem tylko ramionami i stosownie do przepisów, Sterna uwiadomiłem, żeby przyjechał do starostwa, gdzie mu miałem order przypiąć. Nazajutrz otrzymuję od niego list tej osnowy: „Ta sama droga staroście do mnie, co mnie do starosty. Niech zatem pan starosta tu przyjedzie i mnie order przypnie w moim domu“. Oburzony taką zuchwałością, kazałem mu powiedzieć, że jeżeli do trzech dni po order się nie zgłosi, odeszlę go napowrót do Wiednia. Na to otrzymałem te słowa: „Wielmożny Pan Jakób Stern nie przyjedzie po order, a pan starosta niech spróbuje do Wiednia go odesłać“. Wyobrazisz sobie mój Rysiu, że po tej zniewadze nie pozostało mi nic, jak spełnić pogróżkę. Zapakowałem więc order i odesłałem tam zkąd przyszedł.

— Za co pochwałę dostałeś — Ryszard przerwał.

— Śliczną pochwałę! Order odszedł dziś, a nazajutrz Jakób Stern był już w drodze do Wiednia. Z początku sądziłem, że ja zwyciężę, tymczasem niedawno temu przekonałem się, że nie zawsze to co prawie, uważają w górze za dobre, minister bowiem pomijając Namiestnictwo, wezwał mnie do siebie i zażądał tłumaczenia z dwóch rzeczy. Najpierw, czemu Sterna obraziłem, który jest możnym obywatelem, następnie, dla czegom się z nim niegdyś pojedynkował.

— Jak to, więc on i to powiedział ministrowi?

— Jużci że powiedział, aby mi bardziej zaszkodzić. Kochany wujaszek ręczył wtedy głową, że o pojedynku nikt wiedzieć nie będzie, a dziś wie sam minister! Oto jak się wychodzi gdy się człowiek wdaje z takim narodem!

— Nie uwierzysz Zygmusiu, jak mnie to zmartwiło... Mam jednak nadzieję, że to się jakoś załagodzi.

— I ja się tego spodziewam, we Wiedniu bowiem znalazłem możnych przyjaciół, którzy przyrzekli mnie poprzeć... Na razie wykręcałem się

ministrowi jak mogłem, ma się rozumieć nawet kłamałem — trudna rada Rysiu, kiedy prawda szkodzi, więc może kłamstwo pomoże — ale jak to się skończy, nie sposób przewidzieć... O ile mi się zdaje, minister zechce w najlepszym dla mnie razie, żeby mnie namiestnik przeniósł, ale ja na to nie przystanę i prędzej wezmę dymisję, niż pozwolę się w obec mego narodu tak skompromitować! Sprawa ta niezmiernie się rozgłosiła, w powiecie nie ma dziecka, żeby o niej nie mówiło... Ale dość już o tem, teraz powiedz mi Rysiu, jak tobie się powodzi, jak ci idzie *Przyszłość*? No, przyznaj się, masz prenumeratorów?

— Przecie gdybym ich nie miał, nie wydawałbym gazety. Jak dotąd, jeszcze się ona nie opłaca, ale mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi. Teraz ja ciebie zapytam mój Zygmuncie, co o niej sądzisz?

— Jeźli ci mam prawdę powiedzieć, mnie się podoba, naród także ją chwali, mówiąc, że to u nas pierwsza gazeta rozumna, ale z tem wszystkiem...

— I cóż? — Ryszard ciekawie podchwycił.

— Nie gniewaj się Rysiu, jeżeli powiem otwarcie, co mi na sercu cięży... Oto tak mnie, jak wielu innym zdaje się, że ty byś nic nie miał przeciw temu, gdyby się tak Polacy z Rosją pogodzili.

— Z czegóż to wnioskujecie?

— Z oznak bardzo jasnych. Podczas gdy wszystkie nasze pisma Rosji złorzeczą, jedna *Przyszłość* mówi o niej spokojnie, jakby ją na równi z Austrją stawiała.

— A gdyby tak było?

— Rysiu! daj pokój, to gra niebezpieczna, bo niepopularna! Kiedy cały kraj mówi, że tylko Austrja może nas zbawić, więc trzeba w to wierzyć i w tym kierunku gorliwie pracować.

— Więc sądzisz mój Zygmuncie, że państwo, które takim Sternom daje ordery i które za złe bierze swemu urzędnikowi, że ten z godnością stoi na straży jego honoru, że takie państwo może wielkich rzeczy dokonać i nas uszczęśliwić?

Starosta w ten sposób zagadnięty, nie wiedział co odpowiedzieć. Dopiero po namyśle rzekł:

— E! Rysiu, to sprawka centralistów, których godziny policzone... Zresztą z takich drobiazgów nie można sądzić o rzeczach ważnych.

— A ja przeciwnie patrzę chętniej na drobiazgi, które świadczą jakie jest życie, niż na dzieła wielkie, które często gęsto robią się dla oka ludzkiego. Tak naprzykład patrząc na kurną chatę naszego włościanina, nierównie prędzej dowiesz się, jaka jest zamożność Galicji, niż gdy będziesz oglądał pałace naszych magnatów lub gmachy publiczne, za długi w miastach stawiane.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej osoby. Starosta, który bał się spóźnić, uściskał kuzyna i odjechał, a Ryszard zobaczył się w obec gościa, którego dotąd nie widział jeszcze w swojej redakcji.

Był to mężczyzna już nie młody, słuszny, szczupły, suchy i poważny. Usiadłszy na krześle, które mu Ryszard przysunął, najpierw oczy przymknął, potem jakby po namyśle, tak przemówił:

— Jestem Stanisław Korwin, z Mazurów... Przyjechawszy tu na dni kilka, nie mogłem przenieść na sobie, żeby panu dobrodziejowi nie złożyć gratulacyj. *Przyszłość* czytam pilnie i wyznać muszę, że mi się podoba...

Ryszard skłonił się dziękując.

— Co w pańskiej gazecie przedewszystkiem na pochwałę zasługuje — po krótkiej chwili pan Korwin dalej mówił — to trzeźwy pogląd na sprawy krajowe, i stanowczy zwrot ku polityce realnej, której nam tak potrzeba. Czas bo już najwyższy wyrzec się wszelkich marzeń.

— A czy wolno wiedzieć, co pan dobrodziej za marzenia uważasz?

— Złudną myśl o samodzielnem naszem istnieniu. My możemy żyć tylko w naszej religji, mowie i literaturze... Największy rozum pogodzić się z rzeczywistemi stosunkami... My na Mazurach taką dziś mamy politykę i każdy z nas wierzy, że jedynie taka jest dla nas zbawienna.

Ryszard uśmiechnął się nieznacznie.

— A mnie się zdaje, panie dobrodzieju, że polityki programowej nie mieliście panowie i nie macie... W jednej tylko rzeczy jesteście konsekwentni, mianowicie w tem, że wyżej stawiacie interes kościoła, niż interes narodu, w innych zaś sprawach widzę u was ciągłą chwiejność. Niedawno temu biliście brawo tym, którzy powstanie wywołali, w kilka lat później odsądziliście ich od czci i wiary; wczoraj zdawało się, że trzymacie się programu Aleksandra Wielopolskiego, dziś znowu zakochani w Austrji, patrzycie w jej oczy, żądając, by Habsburgowie uwieńczyli skroń swoją koroną Jagiellonów. Nikt nie zaprzeczy, że stronnictwo wasze ma zdolności i większą spoistość, niż każde inne w Galicji, ale mimo to śmiem twierdzić, że

polityki programowej nigdyście panowie nie prowadzili i dziś ją nie prowadzicie... Wszystko potępiać i burzyć nie sztuka, naród trzeba uczyć, jak się powinien odbudowywać.

Pan Korwin słuchał uważnie; na twarzy jego widać było zdziwienie.

— A jaki by też program pan dobrodziej uważał za korzystny dla kraju?

— Według mego przekonania, tylko dwóch mężów stanu miała Polska porozbiorowa. Pierwszym był ks. Adam Czartoryski, zanim wyjechał na emigrację, drugim margrabia Aleksander Wielopolski. Po za ich programem nie widzę dla nas zbawienia.

— Pan dobrodziej ma rację zupełną, w głębi duszy i ja się na to godzę, lecz zastanów się pan, że to program bardzo jeszcze niepopularny... Ktoby z nim wystąpił, gotów by być ukamienowany.

— A mnie się zdaje, że jest on już o wiele popularniejszym, niż był przed r. 1863. Masy jeszcze go nie rozumieją, chociaż zaczynają go już odczuwać... Trzeba tylko aby ci, którym idzie nie o popularność, lecz o dobro ojczyzny, wystąpili z nim otwarcie i zaczęli go roztrząsać. Niech raz prawda się wyświeci.

Pan Korwin ramionami wzruszył.

— Wątpię by się tacy znaleźli... bądź co bądź opinja jest jeszcze ciągle Rosji przeciwną... Jeżeli pan dobrodziej zamierza wydać wojnę utartym pojęciom, życzę z całego serca powodzenia, chociaż nie taję, że w skutek nie wierzę... Nam nic więcej nie pozostaje, jak modlić się i Boga prosić, żeby nam nie dał zginąć.

Ryszard miał stosowną odpowiedź na ustach, gdy w tem drzwi rozwarły się szeroko i w nich ukazała się imponująca postać pana Władysława Gozdawy.

— Jak się masz sercuńciu! — zawołał ręce do syna wyciągając.

Pan Korwin powstał i pożegnawszy gospodarza, wyszedł. Ojciec i syn uściskali się serdecznie. Pan Gozdawa całe dwa miesiące nie był w mieście, co należało do zjawisk nadzwyczajnych, odkąd bowiem Ryszard *Przyszłość* wydawał, regularnie co dwa tygodnie przyjeżdżał go odwidzać, by za jednym zachodem spędzić także kilka wieczorów w ulubionym kasynie.

— Tak dawnośmy się nie widzieli — Ryszard pierwszy przemówił — żem się już zaczynał obawiać, czy się tam co ojcu złego nie stało.

— Złego nic, dzięki Bogu, ale i dobrego sercuńciu, także nic. Ot człowiek żyje jak anachoreta, bo nawet kiedy by chciał, z domu nie może wyjechać.

— Czy ojcu co przeszkodziło?

— Pewnie że przeszkodziło, nie ma *nervus rerum* mosterdzieju, a gdy tego brakuje, po co jeździć do miasteczka? Przecie biedę klepać człowiek i w domu potrafi.

Syn gorzko się uśmiechnął, a chociaż ojcu nigdy nie robił wymówek, nie mógł tym razem przenieść na sobie, żeby nie zapytać:

— Więc przyjaciel Jakób Stern nie daje już pieniędzy?

— Trudno żądać sercuńciu, żeby ciągle dawał, kiedy dochodów nie ma odpowiednich. Już to przyznam ci się otwarcie, żem się dopiero teraz przekonał, że Starawieś nic nie warta. Mosterdzieju to skończone gałgaństwo! Pracuj, męcz się, oszczędzaj, wszystko na nic! Końce jak się nie stykały, tak się nie stykają. Teraz sercuńciu jak na domiar złego jeszcze i robocizna podskoczyła. Wiele dałbym za to, żeby mnie kto od tego gałgaństwa uwolnił.

Na twarzy Ryszarda ukazał się wyraz boleśny; nie chcąc jednak by go ojciec zobaczył, obrócił się do okna. Pan Gozdawa dalej mówił:

— Dobrze sercuńciu, żeś o Sternie pierwszy wspomniał, mam i od niego interesik... O ile wiem, zamierza on się starać o mandat do Rady państwa, *Teraźniejszość* przyrzekła go poprzeć gorąco, żydzi i postępowcy będą mosterdzieju jak jeden mąż na niego głosowali, i jeżeli ty mój Rysiu zachowasz się neutralnie, zwycięztwo jego będzie zupełne.

Syn ramionami wzruszył.

— Kochany ojciec wie przecie, że takich Sternów jestem przeciwnikiem stanowczym.

— Wiem sercuńciu, wiem, ale ponieważ tu idzie nie o poparcie, tylko o neutralność szlachetną, więc czemu mosterdzieju nie miałbyś tego dla swego ojca uczynić? Ja dla Sterna mam obowiązki... Gozdawici sercuńciu umieli być wdzięczni...

W kłopotliwem położeniu znalazł się nasz przyjaciel. Obiecać nie pozwalało mu sumienie, odmówić nie chciał, aby zaraz na wstępie ojca nie obrazić. Użył tedy wybiegu.

— Do wyborów jeszcze daleko — rzekł —

na co więc sobie dziś niemi głowę suszyć. Zresztą kochany ojciec może być pewny, że nic takiego nie uczynię, coby się sprzeciwiało moim obowiązkom.

Ostatniem słowem najlepiej ojca chwycił za serce. Ten, wytłumaczywszy je sobie po swojemu, objął jedynaka za szyję i zawołał:

— O! ja wiem mój Rysiu, że ojca kochać i słuchać, uważasz za najpierwszy swój obowiązek. Dla tego sercuńciu jestem całkiem spokojny, a jak Stern z urny wyjdzie, czego mu z serca życzę, będzie przynajmniej wiedział, że mosterdzieju ma to Gozdawitom do zawdzięczenia!... Teraz ja cię pożegnam, bo pewnie czasu nie masz... zobaczymy się sercuńciu przy obiedzie. Powiedz mi tylko jak się ma ojciec Samuel?

— Starowina zdrów jak ryba, byłem właśnie wczoraj u niego... graliśmy marjasza.

— A zawsze politykuje?

— Dziś więcej niż kiedykolwiek. Posprowadzał już sobie mapy i różnobarwne chorągiewki, aby oznaczać bitwy, potyczki i stanowiska wojsk wojujących.

— Nie dziwię się sercuńciu, i ja muszę sobie kupić dobrą mapę Turcji. Czasy mosterdzieju nadzwyczaj ważne... Wprawdzie delegat mówił mi niegdyś, że mocarstwa postanowiły oskubać Turcję jak kuropatwę, ale kto wie sercuńciu, czy przy tej sposobności jeszcze coś większego nie nastąpi. Bismark ma rozum, a Andrassy mosterdzieju także nie głupi! Wszyscy mówią, że obadwa się zwąchali... Kto wie zatem, czy jak Moskalowi pozwolą przejść Dunaj, Austrja nie wysunie wtedy z Siedmiogrodu jakie sto tysięcy albo i więcej na tyły rossyjskie, i jednym zamachem rzecz skończona.

— Poczem zapewne nastąpi odbudowanie Polski — Ryszard przerwał.

— Ma się rozumieć, mosterdzieju! A ciekawym w jakim by to celu robiła, jeżeli nie dla nas!

— Zanim jednak to nastąpi, pozwoli kochany ojciec, że mu jedną niemiłą rzecz przypomnę. Bank hipoteczny wystawił Starąwieś na licytację, ogłoszenie czytałem już w gazecie urzędowej.

Pan Gozdawa uśmiechnął się dobrodusznie i lekceważąco ręką machnął.

— Wiem, wiem! — odpowiedział.

— A czy ojciec pomyślał, jakby się ratować? Przecie Stern na to objął administrację, aby majątek ocalić.

— Nie troszcz się sercuńciu, moja w tem głowa. Cokolwiek się dzieje, dzieje się w porozumieniu ze Sternem, który mimo nieprzyjemności, jakie musiał znieść od ciebie, nie przestał być moim prawdziwym przyjacielem. I ta licytacja mosterdzieju, to głupstwo! Myśmy ją sami spowodowali, by tem pewniej Starąwieś uratować!

— Sami?... Przyznaję, że jest to dla mnie wielką zagadką.

— I dla mnie sercuńciu byłoby zagadką, gdybym nie wiedział, jak rzeczy stoją. Ależ ten Stern ma głowę! Mosterdzieju równej mu na świecie poszukać!

— Czy wolno wiedzieć, coście panowie ułożyli? — syn zapytał w wysokim stopniu zaniepokojony.

— Jak cię kocham Rysiu nie mogę ci tego powiedzieć, bo dałem Sternowi słowo honoru, że wszystko aż do ukończenia, między mną a nim zostanie... Ale ty sercuńciu bądź spokojny, przecie twój ojciec mosterdzieju ma głowę na karku i wie co robi. A teraz do widzenia Rysiu, bo właśnie w tym interesie muszę jeszcze pójść do banku. Do widzenia przy objedzie!

Ucałował syna i wyszedł w nalepszym humorze. Ryszard stojąc na środku pokoju odprowadził go wzrokiem, w którym było więcej litości niż bolu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

najnowsza powieść Oktawjusza Feuillet.

(Ciąg dalszy).

V.

Nazajutrz Joanna Maurecamps nie mogła pozbyć się pewnego wewnętrznego niepokoju, wsiadając wraz z mężem do karety, która miała ją zawieźć na obiad do hrabiny de Lerne. Bardzo długo dobierała stosowną toaletę; po głębokim namyśle zdecydowała się wreszcie na strój poważny, odpowiedni roli wiele znaczącej, którą miała odegrać tego wieczora. Ubrała więc po prostu suknię aksamitną, w kolorze ciemno ponsowym. Szkoda tylko, iż jej biust i ramiona wychodziły ze sukni, w całem swojem świeżem obnażeniu. Czuła, iż to robi jej postawę mniej surową i poważną. Ale nie mogła zrobić inaczej.

Posadzono ją po lewej ręce Jerzego de Lerne, którego sąsiadką po prawej stronie, była pani d' Hermany. Ponieważ jej wyobraźnia była mocno od wczoraj podrażniona, ową czcią tajemniczą, którą według matki twierdzenia, miał żywić dla niej w głębi serca pan de Lerne, zaczynała znajdować, iż ta cześć za mało na zewnątrz się objawia. Jerzy zaledwie rzucił jej słówko od czasu do czasu, zajmując się wyłącznie sąsiadką z prawej strony. Z braku innego zajęcia, Joanna wytężyła swój bystry słuch, aby połapać coś z ich rozmowy; usłyszała między innemi, iż pani d' Hermany, zamieniwszy przedtem z Jerzym kilka świetnych zaczepno-odpornych frazesów, wymawiała mu złośliwe upodobanie, w obdarzaniu całego świata, rozmaitemi przezwiskami.

— Przypuszczam — dodała od niechcenia — że i ja mam moje.

— To nie podpada najmniejszej wątpliwości — Jerzy potwierdził.

— I jakież to? — spytała młoda kobieta, podnosząc główkę, strojną w złotą włosów kaskadę.

— Cicha woda! — odrzekł Jerzy półgłosem, trochę się ku niej pochylając.

Pani d' Hermany zarumieniła się lekko; następnie spojrzała mu w oczy z potulną naiwnością dziewczynki, która patrzy na ołtarz, gdy ma przyjąć pierwszą komunię:

— Dla czego cicha woda? — szepnęła.

— Dla niczego!... To wyraz indyjski.

— A ja — roześmiała się Joanna — czy posiadam również przezwisko?

— Pani? — zastanowił się.

Utkwił w wniej wzrok przenikający, skłonił się lekko, i rzekł całkiem poważnie:

— Nie!

Widząc ją trochę zakłopotaną, zmienił natychmiast rozmowę, zaczął jej opowiadać o sztukach nowych, muzeach, krajach obcych, które zwiedzała, a zdawał się jedynie dla tego zadawać jej te pytania krótkie i węzłowate, aby mieć przyjemność słuchania jej odpowiedzi, patrzał przytem na nią słodko i poważnie, jakby dla zachęty, żeby wymowną była.

Tak, tak, niewątpliwie, było w tem coś nadzwyczajnego! w sposobie, w jakim Jerzy mówił do niej, słuchał jej i patrzał na nią, był odcień nieokreślony łagodności i uszanowania, którym Joannę jedynie odznaczał. Jak też mogła nie postrzedz tego wcześniej?... Jakież to dziwne?!... tem bardziej uderzające, iż ona nie należy do rodzaju kobiet, które podobny jegomość umie oceniać. Koniec końców, było to grzecznie z jego strony, i Joanna od tej chwili postanowiła w głębi serca przystąpić z większą jeszcze niż przedtem gorliwością, do wielkiej misji wyswatania młodego człowieka, który mimo iż wdawał się w stosunki podejrzane, miał jeszcze w duszy coś poczciwego. Przeszła nawet w myśli wszystkie młode panny na wydaniu, które znała, ale jakoś na razie żadna jej się stosowną nie wydała.

Po obiedzie część współbiesiadników przeszła do fajczarni, pan d' Lerne chciał się z nimi złączyć, gdy matka go za ramię przytrzymała:

— Jerzy — przemówiła — zagraj też twojego walca ostatniego pani de Maurecamps, nim wszyscy powrócą... nie zna go... ręczę, że będzie się jej bardzo podobał!...

— Oh! bardzo proszę o niego! — dodała Joanna.

Pan de Lerne skłonił się i usiadł przy fortepianie. Najprzód walca odegrał, potem kilka jeszcze kawałków przez Joannę wymienionych. Jak to zwykle bywa w podobnych razach, większa część zgromadzonych, która przez chwilę zwróciła grzeczną uwagę na muzykę, wkrótce rozpoczęła rozmowę, każdy w swoim kąciku. Jedna Joanna, jako zapalona dyletantka, została wytrwale obok fortepianu i Jerzego, na drugim końcu obszernego salonu.

Młody człowiek, skończywszy właśnie jakiś efektowny kawałek, błądził bezwiednie palcami po klawiszach, a pani de Maurecamps pomyślała, iż chwila stanowcza nadeszła:

— Jaki pan masz piękny talent muzykalny! — zauważyła. — I malujesz równie dobrze, o ile słyszałam?

— Smaruję po trochę.

— Dziwnie się dzieje na świecie... rzeczy nie do wytłumaczenia!... — szepnęła młoda kobieta, jakby sama do siebie.

— Czy ja pani poddałem tę uwagę?

— Niezawodnie!... Masz pan upodobania, mogące przywiązać człowieka do ogniska domowego, a żyjesz... po za niem... w klubie!...

— Mój Boże!... tak to, tak! — westchnął pan de Lerne.

— Panie Jerzy... — zaczęła znowu Joanna, mocno się wachlując.

— Pani?

— Znajdziesz mnie pan zapewne niedyskretną...

— Jestem tak wyrozumiałym!

— Twoja matka pragnie nadzwyczajnie widzieć pana żonatym.

— Nie wątpię o tem pani.

— A pan nie chcesz się żenić?

— Nie, pani, nie chcę wcale.

— I masz pan do tego powody?

— Jeden, jedyny: oto nie znam żadnej kobiety, która by mnie godną była.

— Ah! mój Boże!

— To jest, przepraszam... — poprawił się Jerzy, zachowując ton niezmiernie poważny — pani nią jesteś... aleś związana... i zresztą...

— Zresztą? — powtórzyła młoda kobieta brwi marszcząc.

— Zresztą.. pani sama stoisz na rozdrożu...

— Ależ panie Jerzy!

— Chciej mi pani wybaczyć... takiem jednak jest moje zdanie.

— Ponieważ? — zagadnęła Joanna.

— Ponieważ źle wybierasz twoich przyjaciół.

— Czyli, mówiąc wyraźniej: błąd popełniam, nie wybrawszy dotąd pana Jerzego de Lerne?

— Nie,... na prawdę, ani mi to w myśli nie postało!... A jednak, taki, jakim mnie pani widzisz, byłem stworzony, aby pojąć, a nawet podzielić miłość aniołów.

— Ah! Jeżeli mam być szczerą — roześmiała się pani de Maurecamps — i jeżeli wierzyć opinji ogólnej, odbiegłeś pan bardzo daleko od miłości anielskich.

— Cóż pani chcesz? zniechęcono mnię! — odrzekł pan de Lerne śmiejąc się również. — Czy pozwolisz mi pani opowiedzieć pewną awanturkę skandaliczną?

-- O! wielce mnię zajmie... tylko przypuszczam, iż w połowie odejdę.

— Wątpię!... Opowiadanie to wiele pani wyjaśni... jest to historja mojej pierwszej miłości... popisałem się wtedy jak głupiec skończony... Ale nie wyprzedzajmy

wypadków! — Miałem wtedy, trzeba pani wiedzieć, lat dwadzieścia jeden, a chociaż ta okoliczność, wyda się może nadzwyczajną, aż dotąd nie kochałem... Muszę dodać, iż miałem wtedy o kobietach i miłości wyobrażenia nader wzniosłe, poczytywałem je za świętość niemal. Serce moje, zamykało w sobie skarb prawdziwy poświęcenia, uczuć namiętnych i uwielbienia, skarb, którego nie chciałem oddać lekkomyślnie pierwszej lepszej. — Spotkałem wreszcie kobietę, którą pokochałem, jak ona życzyła sobie być kochaną, a która mnię kochała nawzajem, jak sama chciała. Należała do najwyższych sfer towarzyskich. Ma się rozumieć, iż źle za mąż wyszła, i czuła się wielce nieszczęśliwą. Nie była pierwszej młodości, kochałem ją przeto tem czulej, im dłużej już cierpiała... Nadzwyczaj jeszcze piękna, chociaż jasną blondyna, była zresztą uczciwości lękliwej, która mnię do rozpaczy przyprowadzała... gdyż koniec końców, chociaż była świętą dla mnie, miałem lat dwadzieścia... Trzeba jednak było szanować ją lub porzucić. — Nasze sam na sam trafiały się rzadko i trwały krótko. Mąż jej był zazdrośny niesłychanie, i z oka jej nie spuszczał. Mogliśmy znaleść środki pospolite, aby spotykać się gdzieś indziej... we fiakrze, lub u którego z moich przyjaciół. Wszystko jednak, co tchnęło pospolitością, i mogło poniżyć miłość naszą, było nam obojgu równie wstrętnem... Miesiące mijały, a urok, jak i przymus, był ten sam dotąd. Mimo zastrzeżeń i skrupułów, nader ciężkich co prawda, któremi obarczało mnię jej sumienie — a może właśnie dla tego — byłem tak zakochany i tak szczęśliwy, o ile można nim być na tym świecie; byłem uradowany, iż mogłem oddać tej najdroższej istocie, całe szczęście, dotąd zalegające, nie mięszając do tego błogiego uczucia żadnych zgryzot i wyrzutów sumienia, gdyż to trochę, co miałem od niej, mogła tak samo bratu rodzonemu udzielić, a jednak to trochę, było dla mnię najwyższą rozkoszą.

W piękną, cichą noc październikową, w czasie polowania... sąsiadowaliśmy na wsi... mąż jej miał przepędzić dwadzieścia cztery godzin w Paryżu... a ja otrzymałem od niej pozwolenie, po długich błaganiach i na mocy przysiąg najuroczystszych, iż przyjmie mnie w swoim pokoju na godzinkę...

— Daruj pan! — Joanna podniosła się cokolwiek z fotelu — gdybym tak sobie poszła, co?

— Nie, nie, nie lękaj się pani. — Pokój był na dole, okna na ogród wychodziły... Wszedłem około północy, przez okno dość wysokie i do którego przystęp był wielce utrudniony; wzdłuż ściany po bokach okna, pięły się rozmaite powoje, między innemi — jakby dziś pamiętam — *Clematis* kwitnące, które w nocy wydawało woń cudowną, nadzwyczajną... Nie wiem czy ten zapach trochę odurzający, czy wrażenie, nowe dla mnie, tego pokoju osobistego... ale muszę wyznać, iż tej nocy byłem z mniejszą niż zwykle rezygnacją i mniej skłonny do zastosowywania się do zwyczajów i skrupułów nielitościwych, któremi dotąd mnie odstraszano... Nastąpiła scena bolesna, którą zawsze ze wstydem sobie przypominam... Biedna kobieta, do nóg mi się wreszcie rzuciła, błagając z rękami załamanemi, abym został człowiekiem honoru, pytając się, łzami zalana, czy nie czuję się szczęśliwym, czy mogę być nim kiedykolwiek więcej, czy chcę okupić to szczęście, ceną jej spokoju, jej czci, jej życia nawet... gdyż ona podobnej hańby przeżyć by nie mogła!... Zwyciężyła. Ustąpiłem jej łzom po części, a po części i własnemu uczuciu, które mi szeptało, iż nie może być nic wyższego, po nad czystą rozkosz przyjaźni równie namiętnej a niewinnej... Dziękowała, w szalonej radości po rękach mnie całując i wróciłem tą samą drogą, którędy byłem wszedł poprzednio... Skoro uczułem grunt pod nogami, odwróciłem się, aby jej posłać od ust ostatni pocałunek i wyszeptać słodkie: — Do jutra! — Zobaczyłem ją w blasku księżycowym, stojącą w oknie otwartem, trochę w tył podaną, z rękami na piersiach skrzyżowanemi. — Na mój całus odpowiedziała ściągając lekko ramionami; potem, swoim pięknym, kontraltowym organem, który ubóstwiałem, rzuciła mi powoli te dwa słowa:

— Adieu... bałwanie!...

Więcej jej nie widziałem. Od tej chwili zamknęła mi swoje drzwi, okno i serce!

Pani de Maurecamps słuchała go z uwagą natężoną. Gdy skończył, wpatrzyła się w niego przenikająco.

— I wywnioskowałeś pan z tego? — spytała.

— Powziąłem przekonanie, iż kobiety uczciwe, są dla mnie nadto niebezpieczne.

— Na prawdę panie, jeżeli, aby usprawiedliwić, ogólną dla naszej płci pogardę, nie masz nic więcej, prócz owego wspomnienia z lat młodocianych, to...

— Oh! mam jeszcze i inne! — przerwał jej pan de Lerne.

Wymówił te słowa tonem tak niezwykłym, iż Joanna żywo podniosła na niego wzrok zdziwiony. Zastanowił ją wyraz pełen boleści, który nagle pojawił się na zmarszczonem czole i zbladłych ustach Jerzego.

— Mam powody straszliwe! — dodał z naciskiem.

A widząc ciekawość w jej oczach, kończył głosem drzącym i mocno wzruszonym:

— Jesteś pani kobietą zacną i dobrą... którą poważam nieskończenie... ale nie mogę wymienić tych powodów, nawet przed panią!

Powstała trochę zmięszana, a układając fałdy u sukni:

— Zdaje mi się, że się kompromituję! — wtrąciła wesoło.

— Daruj pani, iż ośmielam się tak cię długo zatrzymać! — rzekł powstawszy również.

— Ale nie wyrzekam się przeto wszelkiej nadziei! — skinęła ku niemu główką ruchem pełnym gracji, i słodko się na odchodnem uśmiechając.

Ukłonił się tylko, nic nie odpowiedziawszy.

Długa rozmowa pani de Maurecamps z Jerzym, wzbudziła istotnie ciekawość, i zwróciła uwagę mniej więcej złośliwą, gości pani de Lerne. Spostrzegła to Joanna, a chcąc odjąć ich sam na sam wszelką cechę podejrzaną, rzekła głośno do hrabiny przechodząc koło niej.

— Żadnej nadziei, droga pani! Nadaremny był mój zachód cały!

Matka Jerzego, która śledziła bacznie z pod oka fizjonomie dwojga rozmawiających, była zupełnie innego zdania. Oceniła przeciwnie, iż młoda kobieta bardzo dobrze czasu użyła, i że nie trzeba właśnie tracić nadziei.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Kwadranse i godziny mijały, a hrabina zapatrzona łzawem okiem w piękną miniaturę, nie zwróciła na to uwagi. W tem drzwi nagle otworzono, drgnęła przestraszona, a szybkim ruchem pudełko zamknąwszy, dłonią takowe przysłoniła, mierząc drzwi wzrokiem pełnym oburzenia, kto też ośmielił się aż tu ją ścigać?

Tym razem popełnił tę zbrodnię przeciw wszelkiej etykiecie, od dawna w pałacu zaprowadzonej, stary służbista Eberhardt. Wpadł z impetem, okropnie pomięszany i nie czekając jak był powinien, zapytania lub rozkazu hrabiny, wyrwał się pierwszy z zameldowaniem:

— Jaśnie pan właśnie powrócił.

— A gdzież jest? — spytała żywo hrabina, przyzwyczajona, że syn zkądkolwiek przyjeżdżał, zawsze najpierw o matkę pytał i do niej dążył.

— Przypadkiem — jąkał się stary sługa — znalazł się na schodach pan Oswald i zaprowadził jaśnie pana, z powozu ostrożnie wysadziwszy, do jego pokoju.

Hrabina blada jak ściana, zerwała się na równe nogi.

— Zaprowadził mojego syna! — z rozpaczą ręce załamała. — Cóż to się stało?

Eberhardt zwiesił głowę na piersi.

— Koniuszy powiada, że na polowaniu, gdy pan hrabia przez płot sadził z koniem, strzelba wypaliła i...

Nie dokończył, gdyż hrabina chwyciwszy się oburącz za głowę, wyleciała z pokoju jak szalona z krzykiem serce rozdzierającym:

— Boże wielki! Mój syn ranny! zabity może?...

Stary Eberhardt z przestrachu straciwszy zupełnie głowę, stał na środku, z otwartemi ustami i rękami szeroko rozstawionemi, gdy drugiemi drzwiami wszedł Oswald.

— Gdzie pani? — żywo zapytał.

— Zapewne już u syna — szepnął stary odzyskując powoli przytomność. — Tak się jaśnie pani przestraszyła, gdym tylko zaczął o wypadku opowiadać, iż nie pozwoliwszy mi dokończyć, pędem do pokojów jaśnie hrabiego pobiegła.

Oswald wzruszył niecierpliwie ramionami:

— Jakże można być tak nieostrożnym! Rana nic nie znacząca, proste draśnięcie... chciałem właśnie stryjenkę uspokoić.

— Dzięki Bogu! — starzec poczciwy złożył ręce jak do modlitwy — ależ koniuszy opowiadał...

— Koniuszy jak zwykle okropnie przesadził — przerwał mu Oswald. — Nic nie ma, a matka niepotrzebnie tak się przestraszyła. Proszę iść zameldować panu baronowi właściwy wypadek, żeby i on tak samo nie był tem przerażony.

Stary Eberhardt zbity z tropu i mocno zawstydzony, wyniósł się czemprędzej, a Oswald także na wychodnem spojrzał przypadkiem, bez żadnej myśli na biurko hrabiny. Mimo roztargnienia, w które go wprawił wypadek z Edmundem, uderzyło go pudełko, którego dotąd nigdy nie widział.

Ciekawość nie należała bynajmniej do wad Oswalda; uważałby jako wielką niedyskrecję, przeglądanie papierów, lub rzeczy stryjenki, chociażby nawet na wierzchu leżały, jak owe pudełko. W tym jednak razie zaszła fatalna omyłka.

Jak przez sen przypomniał sobie z lat dziecięcych, że stryj posiadał miniaturę młodszego brata, a ojca Oswalda. Opuszczając na zawsze miejsca rodzinne, chciał przynajmniej unieść z sobą tę drogą pamiątkę. Prosił więc usilnie stryjenkę o tę miniaturę i hrabina przyrzekła solennie poszukać tejże w papierach nieboszczyka. Czy była oprawną w ramki, czy też jak zwykle dawniej miniatury, zamknięta w pudełku, tego już tak dokładnie sobie nie przypominał. Pierwszą więc myślą jego było, rzuciwszy okiem na pudełko wyblakłe i kształtu niezwykłego, że mieści w sobie ową miniaturę.

Bez wahania otworzył pudełko i... oniemiał z podziwienia.

Na tle z czarnego aksamitu, ujęta w złotą ramkę misternie rzeźbioną, uśmiechała się do niego twarz młodego i dziwnie pięknego mężczyzny.

— Edmunda miniatura! — rzekł cicho. — Rzecz szczególna! Nie widziałem żeby komu z artystów do niej pozował a zresztą... przecież Edmund nigdy munduru huzarskiego nie nosił?...

Z coraz wzrastającem zdumieniem wpatrywał się w miniaturę tak uderzająco podobną do młodego hrabiego; oglądnął jeszcze raz pudełko, a nie mógł rozwiązać zagadki.

— Co się to wszystko znaczy? — mówił dalej trąc czoło. — Miniatura musi być dawno malowana. Widać to po kolorach wyblakłych i po kształcie pudełka... a jednak przedstawia Edmunda tylko o kilka lat starszego, no! i wyraz całej fizjonomji jest cokolwiek

odmienny... więcej myślący... melancholijny... Ah!...

Po tym wykrzykniku pudełko z rąk mu wypadło i chwycił się oburącz za głowę. Jak błyskawica, gdy rozdarłszy czarne chmury, nagłym blaskiem olśniewa oczy wśród ponurych nocnych ciemności, tak i w jego umyśle od razu jasno się zrobiło, ale i straszno jednocześnie, jakby doprawdy piorun w niego uderzył. Porwał znowu miniaturę i przystąpił z nią do portretu Edmunda, malowanego w naturalnej wielkości, przez jednego z pierwszorzędnych artystów. Porównywał rys po rysie, linję po linji. Podobieństwo było niesłychane. Ten sam kolor włosów i oczów, ten sam owal twarzy, tylko wyraz był odmienny... i miniatura jednakże innego, nie Edmunda, przedstawiała.

— A więc nie omyliło mnię dziwne, nieokreślone przeczucie! Posądzenie, które wiecznie na dnie serca drzemało, jak wąż w pierś mi się wpijając, było słuszne i sprawiedliwe.

Ton głuchy, w jakim te słowa były wymówione, nie zdradzał ani tryumfu, ani nawet złośliwego zadowolenia; raczej brzmiała w nim boleść i przerażenie. Teraz padł jego wzrok na odsuniętą szufladę i kryjówkę na dnie tejże ukrytą.

— Dobrze ją schowała! — uśmiech gorzki osiadł mu na ustach drgających. — Gdyby nie śmiertelna trwoga o syna, która jedna mogła tę kobietę pozbawić przytomności, niczyje oko nie byłoby przeniknęło tej tajemnicy. I właśnie klucz do tej strasznej zagadki, od tylu lat w pyle zapomnienia pogrzebanej, w moje ręce musiał się dostać! To więc nie przypadek, to cudowna ręka Opatrzności! Spodziewam się — Oswald wyprostował się z dumą, a oczy błysły mu gniewem — że jeżeli kto, to ja mam prawo zapytać, kogo ta miniatura przedstawia? i nie oddam tejże, póki kategorycznej odpowiedzi nie otrzymam!

Pudełko schował w zanadrze i szybkim krokiem oddalił się z pokoju.

Wieść o zranieniu Edmunda, którą stary Eberhardt tak był hrabinę przeraził, okazała się istotnie o wiele przesadzoną. Płot przeskakiwał nieuważnie. Wypaliła własna jego dubeltówka i w lewą rękę drasnęła go raczej, niż skaleczyła. Mimo, iż najmniejszego nie było niebezpieczeństwa, cały pałac był w poruszeniu. Baron na wszystkie strony rozesłał po lekarzy, a hrabina nie odeszła z pokoju Edmunda, póki jeden z wezwanych medyków nie nadjechał, i nie zapewnił jej, że niema najmniejszej obawy, i nic nie znaczące draśnięcie do kilku dni zagoi się niezawodnie!

Sam Edmund najlżej zapatrywał się na ten wypadek. Ze śmiechem protestował przeciw lekarskim rozporządzeniom; ani chciał słyszeć o leżeniu w łóżku i drwił w najlepsze ze starego Eberhardta, że pierwszy raz w życiu takie plotki poroznosił i tak się dał w pole wyprowadzić.

Wieczór nadszedł tymczasem. Odjazd Oswalda znowu do jutra odłożono, z powodu lekkiej wprawdzie rany, zawsze jednak mogącej sprowadzić gorączkę u Edmunda. Towarzyska przyzwoitość, nie mówiąc już o uczuciu braterskiem, wymagała tej zwłoki od Oswalda.

Od owego strasznego odkrycia, nie opuścił Oswald swojego pokoju. Tak wszyscy byli zajęci Edmundem, że nikt na to uwagi nie zwrócił.

Lampa zieloną umbrą przysłonięta, bardzo skąpo oświetlała obszerną komnatę. Niegdyś musiała ona wspaniale wyglądać, jak i cała pańska siedziba Ettersbergów. Dziś jednak nader ponuro się przedstawiała. Na suficie sklepionym, gzymsady i rozety pożółkły, a nawet gdzie niegdzie poodpadały, ciemno wiśniowe skórzane obicie na ścianach wilgoć poplamiła i od niej również zczerniały bogate złote wyciski, któremi obicie było ozdobione. Kotarę aksamitną nad łóżkiem szczury pogryzły, a w oknach gotyckich, małe szybki w ołów oprawne, skąpe tylko światło przepuszczały.

Jakże odróżniał się od tej ponurej komnaty, jak cacko wystrojony i wyświeżony apartamencik Edmunda! Taka różnica zachodziła w całem postępowaniu hrabiny z Oswaldem. Wiecznie zepchnięty na ostatni plan, wiecznie za intruza uważany, wiecznie poniewierany! Mimo szczerej przyjaźni Edmunda, który ile możności starał się zatrzeć w umyśle Oswalda tę nierówność, braterską czułością, odczuwał tenże gorzko swoje położenie, i chęć hrabiny upokarzania go na każdym kroku. Za dumny był jednak, aby się skarżyć. Usta więc milczały, choć serce nieraz krwawiło się boleśnie.

Na biurku leżały rozmaite listy i papiery, torbeczka podróżna i owe tajemnicze pudełeczko.

Podobny do króla puszczy w ciasną klatkę zamkniętego, przebiegał wszersz i wzdłuż komnatę, a bladość lic śmiertelna, oczy pałające i pierś gwałtownie falująca, świadczyły o straszliwem wzburzeniu, które go opanowało. To co tliło latami na dnie jego serca, jak coś niezbadanego, nieokreślonego, powstrzymywane siłą woli, wybuchnęło teraz jasnym, pożerającem płomieniem, ni to mina nagle eksplodująca.

Porwał znowu w drżące dłonie nieszczęsną miniaturę.

— I cóż mi to pomoże! — z goryczą zawołał. — Dla mojego przeświadczenia nie potrzeba innych dowodów, ale czyż to wystarczy? Ona jedna mogła by poświadczyć, że tak jest! Czyż by jednak najsroższe tortury mogły ją do tego zmusić, aby własną ręką zwaliła gmach sztucznej wielkości jej syna? Czyż mogę zresztą takiem piętnem hańby kalać moje gniazdo rodzinne i wywlekać przed sąd opinji publicznej podobne temu skandale? A przecież muszę mieć pewność, muszę! choćby nie wiem ile miała kosztować!

Przymknął pudełko, położył na biurku i patrzał ponuro przed siebie:

— Znalazłbym wprawdzie drogę jedyną niezawodną! — znowu po chwili zaczął pół głosem. — Gdybym stanął z tym portretem przed Edmundem, i od niego zażądał tłumaczenia. On by wymógł na matce spowiedź szczerą i przyznanie się do winy... on jeden! Wiem, żeby tego domagał się stanowczo, skorobym

rzucił w jego serce cień podejrzenia, znam go aż nadto z tej strony! Cóż by to jednak był za cios straszliwy dla niego! Mimo pozornej swojej lekkomyślności, jest wygórowanie drażliwym gdy idzie o honor, ma naturę otwartą, szlachetną, brzydzącą się wszelkiem kłamstwem, wszelką obłudą. Gdyby go tak nagle zbudzono, i wyrwano z tej błogiej pewności, że wszystko co posiada, z prawa mu się należy; gdyby jednej chwili runął mu na głowę gmach szczęścia i wielkości, a on zobaczył się igraszką w rękach podłych intrygantów, używających go jako pokrywkę i pretekst do oszustwa na wielką skalę i przez lat tyle!... myślę, iżby tego sromu przeżyć nie potrafił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GENJALNY INŻYNIER

NOWELLA.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Przy okrągłym stoliku siedziała baronowa Charnwood i z ujmującym wdziękiem rozlewała herbatę, częstując gości ciastem i pysznemi owocami. Obok niej stała lady Fayne, niepiękna, ale nader miła i powabna osoba, opodal zaś przy otwartem oknie miss Liliana rozmawiała z malarzem Holme i księciem Raysfort, jak zawsze dumna i urocza. Lekki wietrzyk poruszał białe koronkowe firanki, igrając ze złocistemi splotami jej włosów, śnieżno-biała szyja cudnie odbijała od sukni z fularu chińskiego, ale twarz jej niezwykły teraz miała wyraz. Chłód i wyniosłość ustąpiły miejsca słodyczy i łagodności, lica jej były bledsze, a w oczach tęskna jaśniała zaduma. Trzymała w ręku pyszną brzoskwinię i rozmawiała z księciem Raysfort, który patrzył na nią z nietajonem uwielbieniem. Nagle drzwi się otworzyły, do salonu wszedł baron, prowadząc inżyniera.

Hrabianka zbladła, uśmiech zamarł jej na ustach, brzoskwinia wysunęła się z dłoni.

— Co pani jest? — zawołał zdumiony książę.

— Nic — odrzekła słabym głosem — gorąco takie, a przytem woń tych kwiatów tak odurza...

Wstała, chcąc wyjść na balkon, ale w tej chwili stanął przed nią lord Charnwood z Haroldem.

— Miss Liliano — rzekł baron — pozwól mi przedstawić sobie mego przyjaciela, pana Vibart.

Siłą woli pokonała wzruszenie i wyciągnęła rękę do Harolda.

— Pan Vibart oddawna jest mi znany, — rzekła grzecznie.

Lord Charnwood oddalił się, zostawiając ich samych we framudze okna.

— Nie wiedziałam, że pan tu przyjedziesz, — mówiła hrabianka.

— Ja także nie spodziewałem się ujrzeć tu pani — rzekł Harold — jeżeli obecność moja sprawia ci przykrość miss Liliano, oddalę się ztąd natychmiast.

— Dlaczego pana obecność miałaby mi być przykrą? — odparła — owszem, bardzo mi przyjemnie spotkać po tak długiem niewidzeniu... Wyglądasz pan mizernie? — dodała patrząc na niego.

— Nie jestem zdrów — odrzekł — od dwóch lat życie jest mi ciężarem.

— Komuż ono jest lekkiem! — westchnęła hrabianka.

Zawahała się chwilę, a potem dodała przyciszonym głosem:

— Przez te dwa lata często o panu myślałam.

— Ja zaś o niczem nie myślałem, tylko o pani — rzekł gorączkowo — starałem się zapomnieć o tobie, miss Liliano, starałem się zagłuszyć pracą ból i rozpacz moją, ale wszystko było daremne... Los przywiódł mnie tu, żeby na nowo podsycić cierpienie.

Nieśmiało podniosła ku niemu twarz zapłonioną.

— Może właśnie zamierza je ukoić — szepnęła — kto wie co nam przyszłość gotuje... Przez te dwa lata...

Liliana nie dokończyła, gdyż lady Charnwood zbliżyła się do nich.

— Nie wiedziałam, że państwo się znacie — rzekła.

— Pan Vibart bawił jakiś czas w Ulverscroft — odpowiedziała hrabianka — ten piękny most, którym się zachwycałaś baronowo, został wzniesiony podług jego pomysłu.

W duszy hrabianki wielka w tym czasie zaszła zmiana. Dziś nie była to już dumna patrycjuszka, która tłumiąc ból serca, mówiła nieszczęśliwemu młodzieńcowi. „To być nie może, nigdy, nigdy“, i uważała związek swój z człowiekiem pracy za rzecz potworną, niemożliwą; miejsce jej zajęła kobieta, gotowa wszystko poświęcić dla uczucia. Cierpienie stopniowo oczyściło jej serce z chwastów pychy i przesądów. Najdumniejsza dziewica w Anglji wiedziała teraz, że Harold jest jej droższy nad życie, że zdala od niego niema dla niej szczęścia; nieraz też z tęsknotą wyciągała ręce, przyzywając go do siebie, ale ukochany nie przybywał. Miss Liliana powiedziała sobie, że nigdy za mąż nie pójdzie, jeżeli Harold po raz drugi nie odezwie się do jej serca, łatwo więc zrozumieć jej wzruszenie, kiedy nagle stanął przed nią, kiedy w jego oczach, w jego głosie wyczytała nigdy niewygasłą miłość i uwielbienie.

Młodzieniec nie domyślał się nawet tej zmiany, widział tylko że jest dla niego tak dobrą i uprzejmą jak nigdy, i oczarowany poił się znowu nadzieją. Przy obiedzie pozwoliła mu zająć miejsce obok siebie i zaczęła wypytywać, czem zajmował się przez te dwa lata.

— Czy istotnie to panią interesuje? — rzekł zdumiony.

— Bardzo, — odpowiedziała z uśmiechem.

Opowiadał jej o swoich pracach, olbrzymich przedsięwzięciach, które w tym czasie dokonał, o trud-

nościach jakie musiał przezwyciężyć; opowiadał tem chętniej, że miss Liliana słuchała go z natężoną uwagą.

— Nie masz pan wyobrążenia, jak pięknie twój most wygląda, — rzekła na koniec; — trzeba żebyś pan przyjechał do Ulverscroft zobaczyć go.

Młodzieniec w milczeniu skłonił głowę, szczęście przepełniało mu serce, tłumiło głos w piersi. Nie śmiał jednak mieć nadziei, nie śmiał zuchwałych snuć marzeń.

Nagle przyszło mu na myśl, że ona, podobnie jak wszyscy, nic nie wie o jego pochodzeniu. Gość tak uprzejmie podejmowany przy stole arystokratycznego gospodarza był synem chłopskim, dziecięciem ludu, wzrosłem pod strzechą wieśniaczą. Jego ojciec z uszanowaniem zdejmował czapkę przed p a n e m, przychodząc mu płacić czynsz dzierżawny. Duma wzbudziła się w duszy Harolda — on miał prawo tu być, bo geniusz stawiał go na równi z wysoko urodzonymi paniczami. Fałszywe stanowisko tak go bolało, iż nieraz miał ochotę wyznać głośno, że jest synem prostego wieśniaka, osiadłego blisko Holwood.

Kiedy po obiedzie przeszli do wielkiego salonu, Harold znów się zbliżył do hrabianki, która go przyjęła uśmiechem.

— Przygotuj się pan na wielką przyjemność — rzekła — lady Fayne będzie śpiewała, tak pięknego głosu dawno nie zdarzyło mi się słyszeć.

— Ta przyjemność będzie podwójną, jeżeli mi pani pozwolisz zostać przy sobie.

Nic nie odpowiedziała, ale jej oczy mówiły wyraźnie, że i dla niej będzie to przyjemność.

Książę Raysfort przyprowadził śpiewaczkę do fortepianu, a miss Liliana stanęła w głębokiej framudze okna, gdzie nie dochodziło światło lamp palących się w salonie; księżyc srebrnym blaskiem opromieniał jej zadumane oblicze, łamał się w brylantach, zdobiących ręce i szyję, odbijał od białej jedwabnej sukni, w artystycznych fałdach spływającej w około wysmukłej kibici. Nigdy jeszcze jej piękność takim nie jaśniała urokiem, oczy nie patrzyły tak tkliwie i łagodnie.

Lady Fayne śpiewała jakąś piosnkę miłośną, pełną smutnego wdzięku. Pyszny jej głos takiem dźwięczał uczuciem, że łzy rozrzewnienia stanęły w oczach słuchaczów.

Piosnka mówiła o pięknej, młodej narzeczonej, która umierała w wiośnie życia i szczęścia; zrozpaczony kochanek po raz pierwszy i ostatni przyłożył usta do jej ust różowych — i w tym pocałunku oboje wyzionęli ducha.

Harold przysunął się do miss Liliany i ujął jej rękę, czego nie broniła.

— Choćbym miał także stracić swoje życie w tym pocałunku, muszę usta moje przycisnąć do twojej ręki, pani, — szepnął, ściskając jej dłoń, — teraz ukarz mię, hrabianko, skarżyć się już nie będę.

— Oto moja kara, — rzekła, podając mu drugą rękę.

Harold zbladł.

— Ach! jakże pani jesteś dobrą i okrutną zarazem, — zawołał — lepiej byłoby, gdybyś mnię odtrąciła dumnemi słowy...

— Nie chcę pana odtrącać — odrzekła — raz to uczyniłam i dotąd tego żałuję... Przez te dwa lata byłam bardzo nieszczęśliwa...

Odwróciła się zapłoniona.

Harold stał osłupiały, nieprzytomny, uszom własnym nie wierząc

— Czy ja śnię? — zawołał — miss Liliano, pani mię przywiedziesz do szaleństwa. Przez litość...

Zatrzymał się nagle, gdyż lord Charnwood zbliżył się do nich, pytając jak im się podobał śpiew lady Fayne.

IX.

Nazajutrz rano całe towarzystwo wybrało się na konną przejażdżkę. Dla miss Liliany przyprowadzono karego arabczyka, którym kierowała z niezrównanym wdziękiem i pewnością; wysmukłą jej kibić cudownie uwydatniała obcisła sukienna amazonka. Harold, książe Raysfort i malarz Holme tworzyli jej eskortę, baron towarzyszył lady Fayne, baronowa została w domu. Długo jechali cienistemi alejami parku, pod zielonem liści sklepieniem, potem skręcili na ścieżkę wiodącą przez pola i łąki do bukowego lasu.

Harold nie odstępował hrabianki. Napróżno młody książe starał się zwrócić na siebie jej uwagę, napróżno piękny artysta popisywał się śmiałością w kierowaniu ognistym rumakiem, miss Liliana widziała tylko Harolda, jemu przeznaczała wszystkie uśmiechy i spojrzenia.

Młodzieniec upojony był szczęściem.

Nagle drgnął, zbudzony z czarownych marzeń. Gdzież on był? Widział przed sobą stare, szumiące lipy, bystry strumień i staw z klekocącym młynem, widział kamienną chatę obwieszoną bluszczem i powojem; — łzy stanęły mu w oczach. To był jego dom rodzinny, który opuścił przed laty, żeby zostać panem.

Głos miss Liliany zbudził go z zadumy.

— Patrz pan, jak tu pięknie! — zawołała — nic nie widziałam podobnie malowniczego. Ten schludny domek obrzucony zielenią, cieniste przed nim lipy, białe gołębie trzepoczące się na dachu, przejrzysty staw, przy którem pasie się bydło — ach! to ideał wiejskiej osady.

Wszyscy zaczęli się unosić nad pięknym folwarkiem, jeden tylko Harold milczał.

— Gorąco mi jest — rzekła hrabianka — chętnie napiłabym się mleka.

— Sądzę, że mieszkańcy tej chaty będą bardzo szczęśliwi z pani odwiedzin, — odezwał się książe.

— Wyobrażam sobie, jak tam ładnie być musi — mówiła Liliana — zupełnie jak na obrazkach hollenderskiej szkoły. Wszystkie sprzęty i naczynia jaśnieją czystością, na stole leży obrus biały jak śnieg, na nim

bochenek smacznego chleba i dzban jabłeczniku. Doprawdy, warto było odbyć tę przejażdżkę, żeby to wszystko zobaczyć. Zsiądźmy z koni i poprośmy o mleko, cóż pan mówisz na ten zamiar, panie Vibart? Jaki śliczny ogródek, tyle w nim kwiatów; chciałabym przejść się po nim; sądzę, że ci poczciwi wieśniacy nie mieliby nic przeciwko temu.

Harold był blady jak płótno, dławił go wstyd i obawa. Nie! wobec dumnego księcia, wobec hrabianki, on nie wyzna, że to jego dom rodzinny; brakło mu na to odwagi.

— Jak pan myślisz, panie Vibart, czy nam będą radzi w tej chacie? — zapytała miss Liliana.

Odwrócił od niej twarz śmiertelnie bladą, zmuszony był jednak odpowiedzieć słów kilka.

— Sądzę, że będą bardzo radzi, — odrzekł głucho.

— Pójdziesz pan z nami? — zapytała zdziwiona jego bladością i zmienionym głosem.

— Nie pani, zostanę tu, — odpowiedział Harold.

— Będę pani towarzyszył, miss Liliano, — żywo zawołał książe, zeskakując na ziemię; — jestem bardzo ciekawy zobaczyć wnętrze tej malowniczej chaty.

Pomógł jej zsiąść z konia i razem weszli do domu, za niemi podążyła miss Fayne i lord Charnwood, mówiąc, że i oni chcą się napić mleka. Nadbiegły parobek ofiarował się potrzymać konie.

Harold wraz z innymi zeskoczył na ziemię, lecz zamiast do chaty poszedł nad strumień. Jednostajny turkot młyna budził w jego duszy tysiące wspomnień, żal rozdzierał mu serce. Oh! cóżby on dał zato, gdyby mógł wyznać śmiało, że pod tym dachem urodził się i wychował. Wszystkie szlachetne pierwastki jego natury oburzały się na to milczenie, buntowały przeciw temu zaparciu się do domu i rodziny, ale obawa utraty Liliany silniejszą była — ona zamykała mu usta. Teraz, kiedy właśnie zaświeciło dla niego słońce, kiedy dumna hrabianka uległa potędze miłości i niemal powiedziała że go kocha, miałże niewczesnem wyznaniem zburzyć gmach swego szczęścia, własnemi rękoma wykopać przepaść, któraby pogrzebała najdroższe jego nadzieje? Nie, to niepodobna. Życie bez Liliany nie miało żadnej dla niego wartości, wiedział zaś, że piękna arystokratka z pogardą odwróciłaby się od chłopskiego syna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

MORDERSTWO JAKO MIŁOSIERDZIE.

W prowincji Arcansas, w północnej Ameryce, na przestrzeni 600 mil angielskich, szalał straszliwy organ, połączony z burzą, która w niepowstrzymanym pędzie, przebiegając od wschodu ku zachodowi, zrywała dachy, staczała w przepaście rzek olbrzymie łomy granitu, a odwieczne dęby, w dziewiczych lasach tamtejszych, obalała jak trzcinę. Pod stopami tego olbrzyma ziemia wydawała głuche jęki, wody w rzekach cofały fale swoje, a całe lasy chwiały się w swoich posadach jak wiotkie liany, oplatające się o potężne konary sykomorów. W takiej to chwili fermer w Arcansas, nazwiskiem Wiliam Convay, znajdował się w lesie wraz z dwudziestoletnim synem swoim Jimmy, dokąd się wybrał na poszukiwanie miodu, obficie w tych stronach znajdującego się. Okropna burza, przed którą nie było ucieczki, szalała nad nimi, a w około nich trzask walonych buków i łoskot krzyżujących się piorunów, z przerażającą odzywał się grozą. Wiliam skrył się wraz z synem pod rozłożyste konary potężnego dębu, którego objętość dochodziła do 12 stóp i pod taką osłoną sądził, że przeczeka huragan. Nagle — trąba powietrzna wpada w głąb lasu, zakręca odwiecznemi drzewami i obala ów dąb, pod który schronili się fermerzy. Przywaleni potężnem brzemieniem drzewa, jęczeli obaj w strasznych męczarniach, wzywając co chwila miłosierdzia boskiego, aby zesłał piorun, któryby wybawił ich od powolnego, a prawdopodobnie długotrwałego konania. Pozostała w domu małżonka Wiliama, a matka Jimmego, drżała co chwila o los ukochanych przez siebie istot, a gdy burza uspokoiła się nieco, zabrała młodsze dzieci, umieściła je pod opieką znajomych w sąsiedniej fermie, a sama udała się na poszukiwanie męża i syna. Na odchodnem błagała sąsiadów, aby również pospieszyli z pomocą, co też przyrzekli, czekając tylko zupełnego ustatkowania się rozszalałego żywiołu. Dzielna tedy niewiasta poszła sama. Po dlugiem błąkaniu się wśród szalejącej jeszcze ulewy i huczącego wichru, odnalazła wreszcie ukochanych, odnalazła, ale w jakiemże położeniu: Obaj leżeli przytłoczeni ciężarem stuletniego dębu, wydając słabe zaledwie oznaki życia. Z okrzykiem przerażenia rzuciła się fermerka ku najdroższym istotom; z dziką energją szarpała za konary potężnego drzewa chcąc z pod niego uwolnić męża i syna; całowała ręce ukochanych, ocierała im krwawy pot z czoła, krzepiła wodą i tysiączne dawała im dowody miłości i poświęcenia. — „Dziękuję ci Betty, żeś przyszła, dziękuję stokrotnie i niech Bóg ci to nagrodzi, wyjęknął mąż nieszczęśliwej, odchodzącej prawie od zmysłów małżonki. Lecz, droga Betty, usiłowania twoje daremne. Nie na twoje to siły poruszyć tego olbrzyma, co nas swem cielskiem przygniata. A wreszcie, na coby to się przydało? Patrz na twego syna, w jakich się wije męczarniach, patrz na mnie, który mam zgniecioną klatkę piersiową — i uczyń nad nami miłosierdzie, skróć nasze konanie! Patrz — dodał błagalnie — tam w pobliżu stoi moja strzelba, nie zawodzi ona nigdy... jeden strzał dla syna, drugi dla męża. Betty! błagam cię na rany Chrystusa, nie przedłużaj naszych męczarni.“ I z temi słowy biedny Wiliam opuścił głowę, a z ust rzuciły mu się potoki krwi... Co działo się w sercu biednej kobiety? tego opisywać nie potrzebujemy... Widząc jednak, że ratunku dla nich nie ma, zwłaszcza, gdy i syn jeszcze powtórzył cichym szeptem prośbę ojcowską, chwyciła za strzelbę, i wnet dwa celne strzały odbiły się tysiącznem echem po olbrzymiej puszczy. Usiadła potem obok drogich zwłok, a gdy na drugi dzień zwołani sąsiedzi z pobliskich ferm zbiegli się na ratunek, znaleźli już tylko martwe ciała kolegów i w silnej gorączce biedną Betty, której włosy w ciągu jednej nocy zupełnie posiwiały. Gdy złożono ją na nosze, już przytomność umysłu ją odstąpiła, a nazajutrz wykopano trzy doły, w których spoczęły obok siebie zwłoki Wiljama, Simmego i nieszczęśliwej Betty.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.